

Deportacja osadników wojskowych w głąb ZSRR

Inwazja sowiecka z 17 września 1939 roku to jedno z najtraficzniejszych wydarzeń w historii Polski – jedno z tych, które na zawsze zmieniły kształt państwa i wpłynęły na losy narodu. Niespodziewany atak Armii Czerwonej, będący rezultatem porozumień między ZSRR a III Rzeszą, ostatecznie pogrzył nadzieje Polaków na



Polskie dzieci w czasie wywózki na Sybir. Fotografia z prywatnego archiwum Zofii Joradnowskiej.

skuteczny opór wobec agresji hitlerowskich Niemiec i zarazem przypieczętował dążenia totalitarnych przywódców do unicestwienia odrodzonej na krótko Rzeczypospolitej. Przemianom politycznym i gospodarczym wprowadzanym otąd na ziemiach polskich przez okupantów, towarzyszyły masowe represje wymierzone w ludność zaanektowanych terytoriów. Wśród najbardziej dotkniętych prześladowaniami znaleźli się osadnicy wojskowi z Kresów Wschodnich. Kresy decyzją sowieckiej Rady Najwyższej inkorporowano do ZSRR wskutek sfałszowanych plebiscytów do lokalnych parlamentów we Lwowie i w Białymstoku, a następnie złożonych przez nie deklaracji o przyłączeniu zagarniętych ziem do Związku Radzieckiego (poza terenami przekazanymi w krótkotrwały zarząd Litwie – co w istocie stanowiło legitymizację sowieckiej władzy).

Nadrzędnym celem aparatu stalinowskiego na obszarach „Zachodniej Ukrainy” i „Zachodniej Białorusi” stało się przekształcenie ludności do modelu jednolitego społeczeństwa sowieckiego, dla którego nowy porządek będzie – jak głoszone – wyzwoleniem spod jarzma dotychczasowych ciemnych. Osadnicy wojskowi, posiadający pewną pozycję gospodarczą i będący nierzadko działaczami politycznymi, podobnie jak osobno skategoryzowani niedawni urzędnicy polscy, członkowie organizacji spo-

lecznych oraz służby mundurowe, ziemianie i osoby o wyższym statusie materialnym, postrzegani byli przez nowe władze jako grupa zagrażająca nowemu łaadowi. W efekcie, już od pierwszych dni okupacji rozpoczęto realizację planu eliminowania potencjalnych organizatorów wszelkiego rodzaju oporu. W ramach działań „oczyszczających” funkcjonariusze NKWD przeprowadzali masowe aresztowania, których dokonywano najczęściej pod fikcyjnymi zarzutami lub wskutek donosów. Na wiosnę 1940 roku liczba więzionych obywateli polskich na Kresach Wschodnich przekroczyła 10,5 tysiąca, w tym – wg współczesnych szacunków – liczba aresztowanych osadników wojskowych oscylowała wokół tysiąca osób.¹ Wielu z nich czekał tragiczny los związany z zesłaniem do łagrów, bądź zbrodniczymi egzekucjami przeprowadzonymi na podstawie decyzji KC WKP(b) z 5 marca 1940 roku.

Osadnicy wojskowi poddawani byli szczególnym represjom ze strony NKWD. Jako uczestnicy wojny 1920 roku, która dla Sowieców ciągle stanowiła niezapomnianą krzywdę, nie mogli więc liczyć na łagodne traktowanie. Wkrótce po „wyborach” do Zgromadzeń Ludowych „Zachodniej Ukrainy” i „Zachodniej Białorusi” sprawa osadnictwa stała na obradach we Lwowie i Białymstoku. W wyniku zajadłych oskarżeń oraz demagogicznych argumentów wysuwanych przez marionetkowych przedstawicieli władzy sowieckiej, którzy ukazywali osadników jako „najgorszy element władający ziemią ludu”, przy agresywnej propagandzie lokalnej prasy, która na swoich łamach nie szczędziła osadnikom nienawistnej retoryki, usankcjonowano konfiskatę majątków osadniczych. W rzeczywistości grabież ziemi, żywego inwentarza, dóbr materialnych w postaci sprzętu gospodarskiego, a także zapasów płodów rolnych z osad wojskowych, trwała już od jakiegoś czasu w ramach „rozkułaczania” terenów anektowanych przez ZSRR. Ponadto, w niektórych miejscowościach powiatu rówieńskiego na Wołyniu, a także w nielicznych osadach na Nowogródczyźnie i Polesiu przeprowadzono całkowite wysiedlenie rodzin osadniczych, lecz zjawisko to nie miało charakteru powszechnego i objęło relatywnie niewielką grupę osób.

Gorzkie doświadczenia osadników po 17 września 1939 roku wiązały się z wieloma przejawami stalinowskiego planu akcji represyjnej, skierowanej wobec grup zagrażających budowie nowego porządku. Umiejętnie

¹ Wszystkie dane liczbowe w niniejszym artykule podane są na podstawie opracowania: J. Stobniak-Smogorzewska, „Kresowe osadnictwo wojskowe 1920 –1945”, Warszawa 2003

sterowana przez Sowieców polityka narodowościowa, dążąca do posłużenia się animozjami występującymi na terenach zajętych przez ZSRR, skutkowałą morderstwami dokonywanymi na osadnikach przez grasujące bandy komunistów, kryminalistów i pospolitych przestępców – nierzadko Białorusinów, Ukraińców oraz Żydów – którzy za cichym przyzwoleniem nowej władzy wykorzystywali chaos, jaki zapanował po wkroczeniu Armii Czerwonej na Kresy. Żołnierze sowieccy, zaraz po inwazji, zarekwirowali wiele dóbr osadniczych, najczęściej bez jakiegokolwiek rekompensaty. Wywodzące się z biedoty chłopskiej liczącej na łatwy awans społeczny, komunistów oraz złoczyńców nowe ośrodki władzy lokalnej – komitety wiejskie, przeprowadziły wśród osadników masowe grabieże mienia. NKWD nękało rodziny osadnicze aresztowaniami. Wszystkie te działania służyły nie tylko etapowej realizacji zamierzeń sowieckich względem osadników, ale również ich zastraszeniu. Jesienią 1939 roku rozpoczęto sporządzanie dokładnych spisów osobowych, znacząco uzupełniających informacje, jakimi NKWD dysponowało w momencie wkraczania do Polski. W konsekwencji doprowadziło to do kolejnych, poważnych obaw osadników, związanych z przewidywaniami nadejścia następnej akcji wymierzonej w ich społeczność. W rezultacie około 10% rodzin osadniczych zdecydowało się na ucieczkę z Kresów, przechodząc przez „zieloną granicę” na tereny okupacji niemieckiej.

5 grudnia 1939 roku Biuro Polityczne KC WKP(b) i Rada Komisarzy Ludowych ZSRR przyjęły uchwałę o deportacji osadników, zaś 29 grudnia RKL ZSRR zatwierdziła instrukcję o trybie przesiedlenia oraz organizacji specjalnych osiedli, w których mieli oni zostać ulokowani. Instrukcja przewidywała, że *spiecpieriesieleńcy* – taki status przyznano wywozonym w pierwszej kolejności – będą mogli zabrać po 500 kg bagażu na rodzinę, w tym odzież, naczynia, żywność, sprzęt domowy i drobny sprzęt rolniczy oraz pieniądze i niewielkie kosztowności, natomiast reszta majątku wraz z nieruchomościami przejdzie do dyspozycji lokalnych władz. W styczniu 1940 roku zakończono sporządzanie spisów osób podlegających wywózce. Zastosowano zasadę zbiorowej odpowiedzialności, przez co obowiązkowi deportacji podlegały całe rodziny osadnicze, które władze sowieckie definiowały jako ludzi mających niebezpiecznie opiniotwórcze role w społeczeństwie, a zarazem jako posiadających osobiste powody do wrogości wobec ZSRR. Oprócz osadników wojskowych do deportacji zakwalifikowano również osadników cywilnych oraz pracowników służby leśnej wraz z rodzinami. Operację przeprowadzić mieli funkcjonariusze NKWD przy pomocy lokalnych przedstawicieli aparatu władzy. Generalny nadzór nad

deportacją sprawowali: Iwan Sierow – komisarz ludowy spraw wewnętrznych Ukrainńskiej SRR i Ławrientij Canawa – komisarz ludowy spraw wewnętrznych Białoruskiej SRR. 10 dzień lutego 1940 roku – moment rozpoczęcia akcji przesiedleńczej, stał się symboliczną datą zagłady osadnictwa wojskowego na Kresach Wschodnich. Osadnicy, barbarzyńsko wyrugowani z własnych domostw, nigdy nie mieli już zobaczyć swoich gospodarstw, na zawsze utracili też ukochaną ziemię kresową, którą zamieszkiwali: Wołyń, Polesie, Nowogródczynę, Wileńszczyznę oraz część przedwojennego województwa białostockiego. Wielu z nich nigdy nie powróciło do Polski.

Relacje osadników wojskowych, którzy przeżyli katorgę syberyjskiego zesłania stanowią najcenniejsze źródło informacji o wydarzeniach, jakie rozpoczęły się w mroźną, lutową noc 1940 roku. Eulalia Olsiewicz, mieszkanka osady wojskowej Horbów na Wołyniu, tak zapamiętała moment wywózki: *O godzinie szóstej wstają ja i mój młodszy brat, Darek. Rodzice już dawno wstali. Ojciec karmi zwierzęta w stajni, chlewie i oborze. Mama krząta się w kuchni, przygotowuje dla nas śniadanie. Poranna toaleta i już siedzimy przy stole, jemy śniadanie nie przeczując nic złego. Dziś jest pogodnie, więc do szkoły będziemy jechać na nartach. [...] W oddali spostrzegamy Romka, naszego stryjecznego brata. Biegnie szybko i krzyczy coś wymachując ręką, a następnie woła: „Wracajcie szybko, wywożą nas!”. Parę minut i już jesteśmy na podwórku. Spostrzegamy kilka sań. Odpinamy deski i wbiegamy do domu. Okropny widok! Tato stoi pod ścianą z podniesionymi do góry rękami, a przy nim żołnierze NKWD z karabinem przygotowanym do strzału. W domu wszystko powyciągane, powywracane i poniszczone. Papiery podarte, zdjęcia rozsypane, dużo potłuczonych naczyń i rozrzuconych ubrań po podłodze. Obraz grozy! Całość, gdyby nie to, że ojciec stoi pod karabinem, przypominałaby miejsce po jakimś huraganie lub kataklizmie. Mama płacze, młodsza, dziesięcioletnia siostrzyczka zapłakana stoi pokornie, a Moskal ją ubiera. Straszny tumult, słyszy się krzyki i nawoływania w różnych językach. Mieszkańcy Horbowa szybko biegną, każdy coś wynosi i układa na saniach lub po prostu kradnie. Okazuje się, że mamy tylko dziesięć minut czasu na spakowanie rzeczy i opuszczenie na zawsze naszego domu. Pozostali osadnicy już czekają na saniach, stojących na dworze. [...] Czas przeznaczony na spakowanie upływa i już siedzimy w saniach. Oczyma pełnymi łez ostatni raz patrzymy na rodzinny dom, na rodzinną zagrodę, na kochane rodzinne strony, na tych Ukraińców, którzy przyszli nas pożegnać i na tych, którzy przyszli kraść. Serce przepelnia nieopisany ból i żal. Ruszamy i jeszcze raz spoglądamy na pozostawione domostwa, na nasze pola, sady, na piękny hornowski pejzaż. Jakże ciężkie*

i bolesne jest to rozstanie. Opustoszałe domy zdają się wolać do Pana Boga o ratunek, o nasz powrót!

Grupy operacyjne przeprowadzające przesiedlenia zjawiały się w nocy lub o świcie. Po odczytaniu decyzji o deportacji przystępowano do rewizji domostwa, której często dokonywano bez zachowania jakichkolwiek zasad, dopuszczając się wandalizmu i rabunków wartościowych przedmiotów. Zapisy, jakie zawierała instrukcja przeprowadzenia eksmisji zazwyczaj nie były respektowane. Od uznania członków grupy operacyjnej zależało ile czasu dana rodzina dostanie na spakowanie swoich rzeczy oraz co pozwolą zabrać. Nierzadko ograniczano liczbę przedmiotów i żywności, którą przesiedleńcy chcieli wziąć ze sobą. Zdarzało się jednak, że funkcjonariusze NKWD sugerowali spakowanie konkretnych przedmiotów, bądź odpowiedniej ilości jedzenia. Częściej rodziny przesiedleńców spotykały się z aktami zastraszania, ponaglania i brutalnym traktowaniem. Mężczyźni bywali izolowani od reszty rodziny, która z przerażeniem, w pośpiechu musiała zgromadzić najpotrzebniejsze artykuły. Ogólny zamęt, zaskoczenie i rozpacz powodowały, że decyzje o zabranii określonego dobytku nie były podejmowane racjonalnie. W domach pozostawały rzeczy bezcenne dla egzystencji w trudnych warunkach na terenie ZSRR, pakowano natomiast przedmioty kompletnie nieprzydatne na zesłaniu. Nierzadko decydowało to o możliwości przetrwania. Opór lub ucieczki pojedynczych osób zdarzały się rzadko. Figurujących na liście do deportacji, których nie zastano w domu odszukiwano i wywożono nawet po kilku tygodniach w inne miejsca, niż te, w których znalazła się ich rodzina. Stosunek miejscowej ludności ukraińskiej czy białoruskiej, do przesiedleń osadników wojskowych był bardzo zróżnicowany – od autentycznego współczucia do bezdusznej grabieży mienia wywożonych. Po deportacji, dobytek osadników nie był dostatecznie zabezpieczony, mimo że władzom administracyjnym nakazywały to odpowiednie zarządzenia. Zazwyczaj lokalna samowola doprowadzała do rozkładu opuszczonych gospodarstw.

Po eksmisji, rodziny osadnicze transportowano do stacji kolejowych – często wieziono je najpierw do punktów zbornych, gdzie musiała uzbierać się odpowiednia ich liczba – gdzie przygotowane były eszelony. Transporty, wg instrukcji dotyczącej organizacji przesiedleń, miały składać się z 55 wagonów towarowych, z których jeden wyznaczony był na wagon sanitarny, a jeden – osobowy – przewidziano dla eskorty. W każdym wagonie miało znajdować się po 25 osób, którym powinno się dostarczać 800 gram chleba i jeden gorący posiłek na dobę. Rzeczywistość okazała się zupełnie

inna. Transporty po skompletowaniu wywożonych długo czekały na swoją kolej, ruszały nawet z dwudniowym opóźnieniem, a warunki w wagonach, do których ładowano nierzadko ponad 50 osób urągały człowieczeństwu. Ich przystosowanie do przewozu ludzi ograniczało się do wstawienia drewnianych prycz po obu stronach wejścia, zainstalowania piecyka oraz wycięcia w podłodze otworu kloacznego, który stawał się źródłem zarazków, fetoru, ale przede wszystkim stresu na tle niespotykanej dotąd obyczajowości. W trakcie podróży żywność wydawano w niewystarczającej ilości. Ciepłe posiłki w postaci zupy z trudnych do ustalenia składników dostarczano z reguły po minięciu dawnej granicy, ale rzadko odbywało się to regularnie. Brakowało wody i opału do piecyków. Nie sposób było w takich warunkach utrzymać należytej higieny. Mnożyły się choroby, zwłaszcza wśród dzieci i osób starszych. Opieki lekarskiej nie zapewniono. Mróz i makabrycznie długi czas przewożenia potęgowały wyczerpanie, zarówno fizyczne, jak i psychiczne. Wielu wywożonych umierało podczas jazdy. Zwłoki z wagonów wynoszono na stacjach oraz w przypadkowych miejscach postoju, czasami bez pozwolenia na grzebanie ciał. Lutowy transport w głąb ZSRR opisał w swoich wspomnieniach Wiktor Kamiński z osady wojskowej Kalinówka na Wołyniu: *Po załadowaniu wagonu zaryglowano drzwi. Zapanowała głucha cisza. Po pewnym czasie ludzie zaczęli coś do siebie mówić, zbierać się w rodziny. Ktoś miał świeczkę, zapalono światło. [...] W wagonie, po obu stronach były nary – prycze z grubych desek na trzech poziomach, służące do spania, siedzenia, ułożenia pościeli i całego majątku rodziny zesłańca. Na środku wagonu stał blaszany piecyk. Po przeciwnej stronie, w drzwiach stała wmontowana ubikacja – dziura z wylotem na zewnątrz, bez żadnego osłonięcia. Już następnego dnia kobiety osłoniły ten intymny przybytek prześcieradłami. [...] Rozpalono piec i ciepłe powietrze wypełniło wagon. Wszyscy mieli pragnienie, chcieli pić, ale wody nie było. Dzieci skrobały łyżkami szron ze śrub i żelaznych części wagonu. Wołano wody, mleka, aż w końcu ucichły płacze i wołania, a sen ogarnął głodnych, spragnionych oraz umęczonych. Całe godziny staliśmy lub siedzieliśmy wkoło pieca, który był zimny, albo bardzo gorący, co zależało od ilości opału, który trzeba było różnie kombinować. Spalono część desek z narów, lecz nie mieliśmy czym ich pilować, ani rąbać. Brat Janek zabrał jednak ze sobą narzędzia szewskie, więc młotek i nóż spełniały rolę piły i siekiery. [...] Wreszcie pociąg ruszył. Alfek Leperów wpadł na pomysł, by jeszcze raz spojrzeć na rodzinne strony. Wysunął z otworu w drzwiach rurę wychodka i wyjrzał przez dziurę na zewnątrz. Jednak zaraz raptownie cofnął się, wyciągając szybko głowę. Najeżyły mu się długie,*

ciemne włosy i powiedział z przerażeniem, że na drugim wagonie stoi bolszewik, który skierował lufę karabinu prosto w niego. Pomogliśmy mu szybko wsunąć rurę wychodka w dziurę. Natychmiast zapiszczały hamulce i pociąg stanął w miejscu. Usłyszeliśmy tupanie butów i wołania: „To dziewiąty wagon”. Odryglowano drzwi wagonu i do środka wpadło trzech uzbrojonych żołnierzy. „Kto wysunął głowę?” Twierdziliśmy, że nikt. Matka szybko schowała Alfka pod pierzynę na narach. Żołnierze wyszli i zagrozili, że jeżeli za 10 minut nie powiemy kto to był, to wagon zostanie ostrzelany, lecz wkrótce nas zaryglowano i pociąg ruszył. Zatrzymywanie transportu stanowiło jakąś formę dręczenia i dodawania cierpienia i tak już wymęczonym ludziom, którzy często padali do przodu lub do tyłu, odruchowo chwyтали cokolwiek było pod ręką. Zdarzały się oparzenia od rozpalonego piecyka. [...] Ludzie modlili się i śpiewali pobożne pieśni, a dzieci przeważnie płakały z głodu i pragnienia. Na postojach zabierano z wagonów po dwóch ludzi, którzy pod eskortą przynosili wodę – wiadro zimnej, i wiadro gotowanej, tzw. kipiatak. Na stacjach w ZSRR każdego dnia dawano chleb. Otwierano wagon i pytano ilu jest ludzi, a następnie wrzucano odpowiednią ilość bochenków. Raz tylko otrzymaliśmy gotowaną strawę. Była to „zupa”, ale nikt nie potrafił jej nazwać – ludzie mówili, że to rozgotowane żyto. Przejeżdżaliśmy przez wiele miast i stacji kolejowych na przestrzeni ponad dwóch tysięcy kilometrów. Odczuwaliśmy wrogi stosunek ludności sowieckiej. Większość osób była do nas nieprzychylnie nastawiona. Żydówka, która wydawała nam na jakimś postoju kipiatak powiedziała: „To jadą wrogowie Związku Radzieckiego.”. Były to skutki stalinowskiej propagandy.

Wg szacunkowych danych, liczba wywiezionych w lutowej deportacji osadników wojskowych z rodzinami przekroczyła 44 tysiące osób. Szacunek ten oparto na założeniu, że 10 lutego 1940 roku deportowano 90% rodzin osadników wojskowych, liczących średnio po 5,5 osoby i uwzględniając osadników pozostających wówczas na terenach oddanych przez ZSRR Litwie tj. w okręgu wileńskim. Wśród przesiedleńców nie znalazły się rodziny osadnicze, które wcześniej opuściły Kresy Wschodnie, przedostając się do niemieckiej strefy okupacyjnej oraz osoby, które w trakcie deportacji nie przebywały w gospodarstwach osadniczych, a także te, którym udało się zbiec z transportów w głąb ZSRR. Większość członków rodzin osadniczych, które zdołały uniknąć pierwszej wywózki przesiedlono podczas kolejnych fal deportacji. Ogółem NKWD przeprowadziło cztery masowe akcje deportacyjne w terminach: 10 lutego 1940, 13 kwietnia 1940 – przesiedleńcami były wtedy głównie rodziny uprzednio represjonowanych, czer-

wiec 1940 – wywożono wówczas przeważnie Żydów oraz uchodźców z Polski centralnej i zachodniej (tzw. bieżęńców), maj-czerwiec 1941 – w tym okresie deportowano rodziny aresztowanych ziemian, kupców, wyższych urzędników państwowych, członków antysowieckiego podziemia, a także byłych żandarmów, policjantów i pracowników służby więziennictwa. Powojenne obliczenia ilościowe przeprowadzone przez środowiska emigracyjne głównie na podstawie relacji świadków, raportów członków podziemia niepodległościowego i danych statystycznych o zaludnieniu wschodnich województw II RP, określały liczbę wszystkich deportowanych w czterech falach przesiedleń – nie włączając jeńców wojennych, aresztowanych i przymusowo wcielonych do Armii Czerwonej, ani wywożonych poza ramami głównych akcji deportacyjnych – nawet na ponad milion osób. W liczbie tej mieściło się około 250 tys. wywiezionych w lutym 1940 roku. Ze względu na brak całościowych informacji oraz kompletnej dokumentacji szacunki te nie mogły być dokładne, mimo że pierwszych obliczeń próbowano dokonywać jeszcze w okresie wojny, m.in. za sprawą działań ambasady polskiej w ZSRR, która po wznowieniu dwustronnych stosunków dyplomatycznych między rządem polskim a Stalinem usiłowała zdobyć wiadomości na temat losów Polaków w Związku Radzieckim. Współcześni historycy rosyjscy związani ze Stowarzyszeniem „Memoriał”, a także większość badaczy polskich, w oparciu o udostępnione w latach 90. ubiegłego wieku wykazy transportów sporządzone przez wojska konwojowe NKWD oraz na podstawie danych specjalnej komórki nadzorującej przesiedlenia, znacznie redukują liczbę wszystkich przesiedleńców, zmniejszając ją do około 320 tys., w tym wywiezionych w lutym 1940 roku do około 140 tys., co w środowiskach Sybiraków wzbudza szczególne kontrowersje. Stowarzyszenie Rodzin Osadników Wojskowych i Cywilnych Kresów Wschodnich przyjmuje za wiarygodne pierwsze obliczenia powojenne, które w historiografii polskiej funkcjonowały najdłużej.

Droga do docelowych miejsc, jakie Sowietci wyznaczali osadnikom wojskowym do życia, trwała około trzech tygodni. Były to najczęściej tereny położone w europejskiej, północno-wschodniej części ZSRR: obwód archangielski, obwód wołogodzki, Autonomiczna Republika Komi, ale również inne lokalizacje w obwodach europejskich oraz graniczny dla kontynentów rejon Uralu (Swierdłowski, Czelabiński), zaś w mniejszym stopniu Syberia w rozumieniu obszarów za Uralem (m.in. okolice Irkucka). Deportowani 10 lutego 1940 roku, poza obwodami europejskimi i Syberią (np. Krasnojarskim, czy Ałtajskim Krajem), trafiali jednak również w niewielkiej liczbie do Kazachstanu. Przesiedleńców z rodzin osadniczych roz-

mieszczano w specjalnych osiedlach, z dala od innych miejscowości, gdzie zazwyczaj musieli ciężko pracować przy wyrębie lasu i obróbce drewna. Opisy przyjazdu do tzw. *spieczosiołków* również znalazły swe odbicie w relacjach bezpośrednich uczestników tych wydarzeń. Ewa Piorunowska z wołyńskiej z osady wojskowej Terczyn zapamiętała ten moment następująco: *Wreszcie zatrzymał się transport. W końcu otworzyli drzwi i kazali się wyladować. Po podróży w ciemnych wagonach nie mogliśmy patrzeć na śnieg. Od bieli okropnie bolały nas oczy. Zrobili podział: mężczyzn i chłopców od 16 lat ustawili po jednej stronie, kobiety i dzieci po drugiej. Rzeczy zostały przy mężczyznach. Powstało zamieszanie. Sowieci poganiali nas jak bydło, a przy tym śmiali się i dogadywali: „Czort Polaków nie weźmie? Polskie pany są silne? No, ale tu zdechniecie!” Na gołych saniach jechało nas osiem osób – matki z dziećmi. Płakałyśmy. Zamarzały łzy, marzły nogi i ręce. Tak dojechałyśmy do cerkwi, gdzie spotkałyśmy naszych mężczyzn. W ograbionej – pewnie po rewolucji – cerkwi leżeliśmy jeden obok drugiego, a konwojenci krzyczeli, żeby pilnować swoich rzeczy, bo mogą zginąć. Rano dostaliśmy kipiatak, czyli wrzątek i w drogę. Pamiętam jak umierały, zamarzały niemowlęta. Biedne, młode mamy chciały chociaż zakopać małeńkie ciała, ale konwojenci krzyczeli: „Rzucaj w śnieg!”. Wychodziła z nich jakaś zdziczałość. Byli chyba specjalnie szkoleni. Jechaliśmy cały dzień i w nocy – białej od śniegu i zorzy polarnej – przywieźli nas do baraku nad rzeką Suchoną. Barak, jak stodoła, bez przegródek. Przy ścianach i na środku prycze. Każda rodzina otrzymała jedną pryczę i musieli się wszyscy pomieścić. Rano wszedł Sowiec i oznajmił: „Jestem komendantem i odpowiadam tutaj za porządek. Dorośli tj. mężczyźni, kobiety i młodzież idą do lasu, do ścinania drzew. Kobiety będą obcinały gałęzie. W baraku pozostaną osoby bardzo stare i dzieci, a jak ktoś jest chory – mam lekarza, ale on zwolnień nie daje.”. O jedzeniu, ubraniu i innych sprawach mowy nie było.*

Władzę w osiedlach, do których trafili przesiedleńcy sprawowały specjalne komendantury NKWD. W jednym *spieczosiołku* mieszkało po 100-500 rodzin. Tryb pracy deportowanych, warunki mieszkaniowe, administrację osiedla, środki dyscyplinarne przewidziane dla zesłańców oraz wszelkie inne regulacje miały być realizowane w oparciu o ogólne dyrektywy. W rzeczywistości działało się inaczej. Komendanci stanowili autorytarną jednostkę zarządzania o szerokich uprawnieniach, bezwzględnie wykorzystywanych do egzekwowania obowiązku pracy, często z zastosowaniem nadużyć. Cytowany wyżej Wiktor Kamiński, który trafił do *posiołka* Jużnyj z osady wojskowej Kalinówka na Wołyniu, tak wspomina pierwsze

spotkanie z przedstawicielami lokalnej władzy: *Powitała nas delegacja NKWD, która przesiedleńców przejęła w swoje posiadanie. Wygłoszono krótką przemowę w formie wyroku. „Zostaliście przesiedleni tutaj na zawsze i nie ma powrotu do Polski. Ponosicie karę za rok 1920, za Polskę burżuazyjną. Tu będzie wasza praca, tu wasze życie i śmierć. Jedynie może wasze dzieci – o ile przeżyją – będą naczelnikami nad Anglikami i Amerykanami, których też tu przywieziemy. Taki porządek polityczny został już ustalony z Niemcami. Polska zniknęła z mapy i zobaczycie ją tak, jak swoje ucho. [...] I nie możecie narzekać na złe zakwaterowanie, bo nas tu przywieziono w 1932 roku, też zimą, i zrzucono w goły las, trzeba było rąbać drzewa i budować baraki”.*

Warunki egzystencji na zesłaniu były tragiczne. Rodziny mieszkaly śtłoczone w często zimnych barakach, w których gnieździły się pluskwy i wszelkie robactwo. Wskutek katorżniczej pracy, mrozu dochodzącego niekiedy do 50 stopni poniżej zera, głodu, braku witamin oraz wskutek chorób, którym wobec niedostatecznej opieki lekarskiej i medykamentów nie sposób było skutecznie zapobiec, umierało bardzo dużo przesiedleńców. Życie codzienne podlegało całkowitej kontroli. Niesubordynacja, niewłaściwe wykonywanie przymusowej pracy, spóźnienie na roboty, a nawet kwestionowanie zarządzeń sowieckich było karane. Potracano zarobki, zmniejszano racje żywnościowe, a często aresztowano osoby łamiące narzucone zasady. Obowiązywało drakońskie prawo. Mimo to nadzieja na przetrwanie, na powrót do Polski, na zmiany międzynarodowego układu politycznego nie opuszczały zesłańców. Kultuwanie tradycji religijnych, pamięć o świętach narodowych oraz wzajemne wsparcie pozwalało zachować wiarę w poprawę losu i przetrwanie. Fragment przywoływanych wcześniej wspomnień Eulalii Olsiewicz, która z osady wojskowej Horbów trafiła do Komartichy w obwodzie archangielskim, oddaje warunki egzystencji na zesłaniu: *Otacza nas tajga. A w niej zwały drewna, szczególnie na wzgórzu, na stromym brzegu Usti. Ze wszystkich stron, aż po horyzont las, wielki las, ogromny las, potężny bór i olbrzymie zasypy śniegu, w którym toną drzewa, mniejsze prawie całkowicie, a większe po konary. Zapoznajemy się powoli ze szczegółami nowego życia i już wiemy, co kto będzie robił jutro. Wszystkie panienki od piętnastego roku życia pójdą do wycięcia lasu. Chłopcy od dwunastu lat i młodzieńcy do zrywki i zwózki drewna, a mężczyźni do budowy domów. Nas – dzieci, czeka rusyfikacja w rosyjskiej szkole, do której będziemy uczęszczać w przerwie, po wykonaniu przydzielonych prac. Dzisiejszy dzień – ostatni wolny od pracy, jest przeznaczony na przygotowanie odzieży, bo nikt nie otrzyma żadnego roboczego ubrania. Dziś, po-*

dobnie jak minionej nocy, trwa walka z pluskwami, których jest coraz więcej. Co chwilę się budzimy próbując coś poradzić na tę plagę. [...] Po pobudce o świcie wstajemy zmęczeni, niewyspani, niektórzy z bolącymi głowami. Skromny posiłek składający się z zupy zabieleranej mlekiem i wydzielonej porcji chleba, i zesańcy ruszają do pracy. Ci, którzy są przydzieleni do robót leśnych, mają do pokonania od czterech do sześciu kilometrów drogi. Głęboki śnieg utrudnia przejście po niewydeptanej ścieżce, a przy tym narzędzia pracy obciążają ramiona kobiet, które słabną wycieńczone długą podróżą i niedożywieniem. Idą, potykają się i padają płacząc. Droga, którą muszą przebyć w porównaniu z pracą, jaka je czeka w tajdze jest zabawką. Brygadzysta pogania, nie daje wytchnienia, zimno doskwiera, marną rękę i nogi, szczególnie narażone na mróz z powodu braku odpowiedniego obuwia, a temperatura spada do minus 40 i minus 45 stopni Celsjusza. [...] O zmroku „drwale” wracają, a właściwie wloką się do domu. Potykając się idą drogą, która wydaje się nie mieć końca. Do posiołka docierają późnym wieczorem. Padają ze zmęczenia na pryzkach, nie mogąc nawet zjeść podanej strawy. [...] Niemal każdego dnia ukradkiem wycieram łzy, które mimo woli napływają mi do oczu. Płaczę nie tylko dlatego, że nie mam dzieciństwa i muszę ciężko pracować, ale i tęsknoty za kochaną ziemią ojczystą, za rodzinnym Wołyniem. Zapadam na anemię, a jak się później okazuje choruję na nostalgię i jedynym ratunkiem dla mnie jest powrót do kraju. Niestety, ku memu przerażeniu nie ma powrotu i – jak twierdzi komendant obozu – nie będzie. [...] Zbliża się Wielkanoc, pierwsze święto na zsyłce, w Komartisze, z dala od ojczystego kraju i rodzinnych stron. Wszyscy starannie przygotowujemy się do tych świąt, robimy wiosenne porządki w naszym „domu” i idziemy do wsi po żywność. Za nasze rzeczy otrzymujemy trochę cebuli, ziemniaków, mąki i jedno jajko! Spod śniegu wygrzebujemy borówki, których teraz nie brakuje na naszych stołach. Mieszkańcy obu baraków solidarnie postanawiają, że w pierwszy dzień Wielkanocy nie pójdą do pracy. [...] Płaczą podczas wspólnej modlitwy, dzielimy się „jajkiem”, życząc sobie nawzajem dużo zdrowia, wytrzymałości, a przede wszystkim powrotu do kraju. W grobowej ciszy, pogrążeni w smutku spożywamy „święcone”. W tym czasie wchodzi do nas zastępca komendanta i goni wszystkich do pracy mówiąc przy tym, że mieszkańcy drugiego baraku już wychodzą. Nakazuje mężczyznom budującym osiedle wyjść za dziesięć minut, a kobietom i młodzieńcom pracującym w lesie – za godzinę. On sam osobiście będzie czekał na nich, a kto nie wykona polecenia zostanie surowo ukarany. Brak solidarności części zesańców i pogróżki Moskala zmuszają nasze rodziny do podporządkowania się.

Zesłańcy uzupełniali braki w wyżywieniu zbierając grzyby i owoce leśne. Przedmioty przywiezione z domu wymieniano na jedzenie podczas spotkań z autochtonami. Stosunek miejscowej ludności do Polaków był w wielu wypadkach życzliwy. Sporadycznie zdarzało się, że przesiedleńcy otrzymywali paczki od rodziny i przyjaciół, którzy pozostali w okupowanym kraju. Mimo chwywania się różnych sposobów na przetrwanie, wśród lutowych przesiedleńców mnożyły się zachorowania, nierzadko śmiertelne. Sytuację poprawiało nieco nadejście wiosennego i letniego ocieplenia. Los zesłańców w ZSRR spisała w swoich wspomnieniach cytowana wcześniej Ewa Piorunowska z osady wojskowej Terczyn, która trafiła do tajgi nad Dwiną i Suchoną: *Wiosna to zawsze nadzieja i tam też wiosna przyniosła nam nadzieję na przeżycie. Na polanach, w lesie pokazuje się trawa. Wy-skubujemy wszystko, co się tylko pokaże. Nasze mamy na „golej” wodzie gotują zupy z pokrzywy, lebiody, czubków skrzypu, albo dzikiego szczawiu. Czasem dodają otrębów zdobytych za wymianę mniej potrzebnych rzeczy. Taki „zielony” barszcz nosiłam bratu do lasu lub nad rzekę, do pracy. Brał ronderek, przechylał i jednym haustem wypijał zawartość. Ojciec zadowolał się tym, co dowozili – skromną racją zupy i kawałkiem chleba. Wychodzili do pracy o piątej rano, głodni; wracali wieczorem zmęczeni i jeszcze bardziej głodni. Zjadali to, co udało się zdobyć: dla pracujących po 500 gram chleba, dla mnie 250 gram, i to zapijało się gorącą wodą z ziołami. Mama ukradkiem dokładała swój przydział synkowi i doszło do tego, że na noszach wynieśli ją na łódkę, a łódkę powieźli do szpitala. Szpital znajdował się dziesięć kilometrów od wyspy w miasteczku Szujskoje nad Suchoną. Mamę pozostawili bez obaw, że ucieknie. Orzeczenie brzmiało: silne wyczerpanie, anemia i zapalenie mięśni w kończynach dolnych – stan bardzo ciężki. [...] Po kilku tygodniach zdrową mamę wypisali ze szpitala. Na szczęście dla nas wszystkich, choroba mamy przytrafiła się wiosną, strach pomyśleć, co byłoby zimą. Lato było nam wszystkim bardzo potrzebne, bo latem można było zaopatrzyć się w różne owoce leśne, jagody i grzyby. To nas ratowało. Chodziłam z innymi do lasu i przynosiłam jego bogactwa. Poprawiły się humory, wracało zdrowie, ale na krótko. Jednak latem straszliwie atakowały komary, a w nocy ciągle dokuczały pluskwy i wszy. Były wszędzie, na całym ciele. Pojawiły się wrzody – na nogach, na plecach i na głowie. Brak było leków i opatrunków. Szmaty, którymi owijaliśmy chore miejsca przyklejały się i ból przy ich odrywaniu był okropny. [...] Życie toczyło się dalej pod kontrolą NKWD. Listy od rodziny przychodziły rzadko, wiadomości ze świata nie było żadnych. Radio grało, ale tylko*

to, co odpowiadało Sowietom. A już we wrześniu spadł obficie śnieg i znów paraliżował nas strach przed mrozami.

Przesiedleńcy, wg statusu jaki nadano im przez władze sowieckie, podlegali formalnie normom prawa ZSRR, dotyczącego zatrudniania, bezpieczeństwa pracy i wynagradzania. Normy te nie były jednak przestrzegane. Instrumenty wszelkiego egzekwowania zapisów prawnych pozostawały w rękach lokalnej władzy na *posiołkach*, a zesłańcy znajdowali się w warunkach przymusu sytuacyjnego, wobec czego nie dziwi, że respektowanie obowiązujących przepisów okazywało się fikcją. Dzieciom często nie zapewniano edukacji. Z wynagrodzeń deportowanych utrzymywana była administracja NKWD, która ich nadzorowała. Z zarobków zesłańczych odciągano również podatki i świadczenia na rzecz ZSRR. Trudna sytuacja przesiedleńców była Sowietom doskonale znana. Raporty o warunkach życia *spiecpieriesieleńców* docierały do najwyższych władz, lecz nie zmieniał to położenia deportowanych, wpływało jedynie na nieco sprawniejszą organizację wywózek po 10 lutego 1940 roku. Prawdziwa szansa na poprawę losu Polaków pojawiła się dopiero po niemieckim ataku na ZSRR. Na osiedlach, wśród osadników i pozostałych przesiedleńców, wzmogły się spekulacje polityczne, przewidywania najbliższych wydarzeń oraz ich ewentualnego wpływu na oczekiwaną zmianę sytuacji. Układ Sikorski-Majski, zawarty w Londynie 30 lipca 1941 roku, przywracający stosunki dyplomatyczne pomiędzy Polską a ZSRR dał zesłańcom olbrzymią nadzieję, która ziszczyła się poprzez wydanie dekretu Prezydium Rady Najwyższej ZSRR z 12 sierpnia 1941 roku, w którym obywatelom polskim, pozbawionym wolności na terenie Związku Radzieckiego udzielono „amnestii”. Do kategorii „amnestionowanych” – oprócz więźniów, łagierników, jeńców wojennych, internowanych – zaliczali się również deportowani. Informacja o dekreście i wiążącej się z nim możliwości swobodnej zmiany miejsca osiedlenia nie bez trudu przedostawała się do Polaków na rozległych terytoriach ZSRR. Często blokowano wiadomości o tworzeniu się wojska polskiego w okolicach Kujbyszewa i Saratowa, na początku 1942 roku przeniesionego do południowych republik azjatyckich. Jednak ostatecznie tysiące Polaków rozpoczęło masowe przemieszczanie się w pobliże ośrodków formowania armii Andersa. Wydarzenia opisał w swojej relacji, cytowany wyżej Wiktor Kamiński: *W niedzielę, 22 czerwca, około południa dotarła do nas radosna wiadomość, że Niemcy uderzyli na Rosję. Polacy wyraźnie okazywali radość z wybuchu wojny. Zwołano zebranie, na którym komendant zarządził, by oddano aparaty radiowe, oraz powiedział: „Nie cieszcicie się, bo ciągle jesteście jeszcze w Związku Radzieckim, a my jeste-*

śmy na tyle silni, że stawimy opór Niemcom. Takich jak wy mamy miliony i potrafimy utrzymać w karności.”. Zaznaczył, że w związku z wybuchem wojny zostają zaostrzone przepisy odnośnie dyscypliny pracy, życia w posiadłościach i zaopatrzenia w żywność. Najpierw zmniejszono normy przydziału chleba. [...] w końcu lipca zwołano następnie zebranie, na którym podano do wiadomości, że został zawarty układ między rządem sowieckim a rządem polskim. Komendant oświadczył, że ZSRR popełnił wielki błąd uważając Polaków za wrogów. „Nasze narody są słowiańskie, my jesteśmy bracia, a naszym wrogiem są Niemcy hitlerowskie. Ogłoszona będzie amnestia dla Polaków, wkrótce otrzymacie wolność”. Zapanowała nieopisana radość, ludzie padali sobie w objęcia, płakali ze wzruszenia. Zwrócono się do komendanta o zezwolenie na odśpiewanie narodowej pieśni. Zezwolił pod warunkiem, że słowa i treść nie będą obrażały, ani godziły w ZSRR. Uroczyście odśpiewano „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród...”. W czasie śpiewania „Roty” Rosjanie zrozumieli słowa skierowane przeciw Niemcom, co im się podobało, bo kiwali głowami.

Droga na południe ZSRR wiązała się z nowymi trudnościami. Zesłańców czekała bardzo długa podróż w ciężkich warunkach, ponowny niedostatek żywności w miejscach nowego osiedlenia. Władze sowieckie osiedlały przybyłych na południe Polaków w kolchozach i sowchozach, gdzie często brakowało pracy i mieszkania. Nie wszyscy docierali do ośrodków koncentracji armii Andersa. Skutkiem fatalnych okoliczności towarzyszących przemieszczeniom, były szerzące się epidemie tyfusu, czerwonki, dyzenterii i malarii. Śmierć zbierała obfite żniwo, szczególnie wśród najsłabszych – bowiem najbardziej wyczerpanych – więźniów, łagierników i przesiedleńców lutowych, wśród których byli osadnicy wojskowi. Działalność opiekuńcza istniejącej od sierpnia 1941 roku Ambasady Polskiej w ZSRR była torpedowana przez Sowietów, i choć miała szeroki zakres, okazywała się dalece niewystarczająca w odniesieniu do potrzeb. Niemniej dla tysięcy Polaków rok 1942 okazał się wybawieniem od sowieckiej niedoli. Exodus z armią Andersa pozwolił im uciec z nieludzkiej ziemi, jakkolwiek nie kończył udreki zapoczątkowanej wybuchem wojny i inwazją z 17 września 1939 roku. Część osadników wojskowych oraz młodzieży z rodzin osadniczych wstąpiła do armii polskiej i wydostała się z ZSRR wraz z bliskimi, których ewakuowano jako ludność cywilną. Dla wielu Polaków, którym nie udało się wówczas opuścić terytorium stalinowskiego reżimu, w tym dla sporej grupy osadników wojskowych, koszmar zesłania trwał jednak nadal.